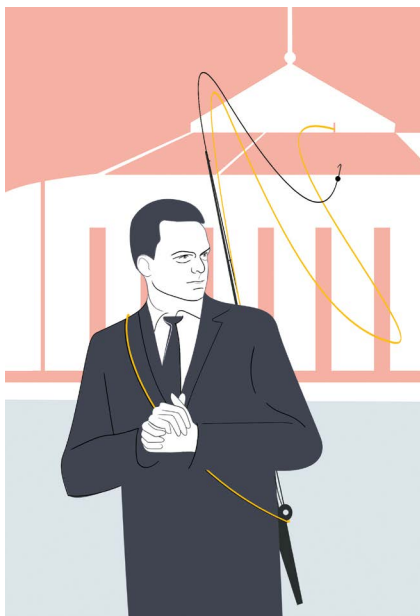




16

Koronastudia



20

Hołownia
na łowach

32

Tuchów: oto Polska
w miniaturze

Tematy tygodnia

- 6 Jerzy Baczyński, Mariusz Janicki
Przesilenie w obozie władzy
12 Ewa Siedlecka **Co zawiera
piątka dla zwierząt**



- 16 Joanna Cieśla, Agnieszka Sowa
Studia zdalne

Polityka

- 20 Anna Dąbrowska, Joanna Sawicka
Hołownia buduje i próbuje
23 Rafał Kalukin **Jak się rozregulowała
pisowska maszyna**

Społeczeństwo

- 26 Marcin Piątek **Atak na Bońka**
29 Katarzyna Nosowska
o porachunkach z dawnym życiem
i tym, jak się nie dać otaczającej nas
wściekłości
32 Marcin Kołodziejczyk
Życie w strefie anty-LGBT
35 Katarzyna Kaczorowska
Emeryci na psychotropach

Rynek

- 38 Adam Grzeszak
Allegro idzie na giełdę
41 Łukasz Wójcik
Czy długi można odpuścić

Świat

- 44 Ula Idzikowska GRECJA
Piekło Lesbos
47 Tomasz Zalewski USA
Pocztowe wybory



- 50 Jędrzej Winięcki TAJLANDIA
Tu także młodzi mają dość

Nauka i cywilizacja

- 52 Andrzej Hołdys **Gorąco w Arktyce**
56 Piotr Czarnyszewicz
Małe samoloty na dalekie loty
58 Wojciech Mikołuszek **Dlaczego
ludzie lubią gawędziarzy**

Historia

- 60 Marek Henzler
II RP: sanacyjne kwity na opozycję

- 63 Wiesław Władyka
Kronikarz upadku Polski
64 Piotr Korczyński **Jak i dlaczego
wypowiedzieliśmy wojnę Japonii**

Kultura

- 70 Aneta Kyzioł **Bowie u Klaty**



- 73 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
74 Rozmowa z reżyserem **Piotrem
Domalewskim** o Polakach
na emigracji
76 Mirosław Pęczak
Muzycy czasu przełomu
78 Dorota Szwarzman
Opera w masce

Na własne oczy

- 84 Karol Jałochowski **Thomas Ashcraft:
radioastronom artysta**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
• 8 Ludzie i wydarzenia • 66 Afisz
• 80 Passent • 81 Tym • 82 Do i od redakcji
• 90 Polityka i obyczaje



Z ŻYCIA SFER

We władzy wartości

Teraz, proszę państwa, bez wartości za pazuchą to strach wyjść z domu. Czymże będziemy się bronić przed atakującymi nas ze wszystkich stron antywartościami? Ale kiedy już się owe wartości ze sobą zabiera, dobrze jest jednak wiedzieć, który ich zestaw się akurat wzięło – czy tylko wartości chrześcijańskie, czy także wartości narodowe, a może tym razem zapakowaliśmy jedynie wartości wymienne? Bo jak już się idzie między ludzi, to lepiej wiedzieć, jakimi wartościami będziemy szafować, choćbyśmy nie mieli w zwyczaju żyć zgodnie z nimi – co jest zjawiskiem dość typowym, zwłaszcza w kręgach politycznych i kościelnych.

Na przykład dla abp. Marka Jędraszewskiego, jak nieraz słyszeliśmy, najważniejsza jest rodzina, a absolutnie odpychająca „ideologia singli, która każe nam żyć jako samotna wyspa”, lecz sam rodziny nie założył i żyje jako singiel – samotna wyspa wśród całego ich archipelagu. Robert Winnicki, prezes Ruchu Narodowego, stale nosi przy sobie zarówno arsenał wartości chrześcijańskich, jak i narodowych i bez wahania go używa, ale gdy Sejm debatował nad losem norek i eksportowego uboju rytualnego, zmartwił się przede wszystkim tym, że polski rolnik nie będzie mógł zarobić na karmieniu wyznawców islamu, Jehowy i innych niewiernych z „najbardziej dynamicznych rynków azjatyckich, afrykańskich”, tym samym przyznając, że wartościowe wydaje mu się wzmacnianie siły niechrześcijan przez dostarczanie im zdrowej wołowiny. Czy to nie zdrada duchowych interesów katolickiego

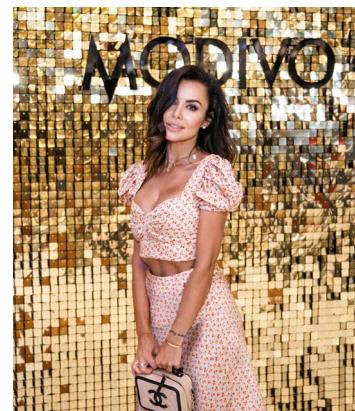
narodu? Robert Winnicki chyba nie podziela deklaracji prezesa PiS z jego wywiadu w tygodniku „Sieci”: „Należę do ludzi, którzy uważają, że nawet za bardzo duże pieniądze nie można sprzedać własnych wartości. Nie mam wątpliwości, że gdyby był taki wybór, trzeba wybrać wartości”. Brzmi szlachetnie, tylko kto chciałby kupić wartości prezesa Kaczyńskiego? Te przez niego deklarowane porządni ludzie już mają, a te realizowane w praktyce mają już z kolei ci pozostali.

Nie lepiej wypada w tym kontekście opozycja, która tyle razy grzmiała o nadrzędnej wartości, jaką jest praworządność, w tym zwłaszcza sposób stanowienia prawa. Niemniej, gdy poczuła, że może coś na tym ugrać, zagłosowała za „piątką dla zwierząt”, choć ustawa jak zwykle procedowana była w pośpiechu i niechlujnie. Lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, komentując zakazy uboju rytualnego i hodowli futerkowej, trafnie zauważył: „Ten akt nie jest aktem przyzwoitości. Jest aktem oskarżenia wobec polskiej wsi i polskiego rolnika, że nie potrafi się zajmować swoją zwierzyzną, nie dba o tę zwierzyzną, nie potrafi jej hodować i nie potrafi z nią żyć”. Szkoda, że zatrzymał się w pół słowa. Jako katolik powinien „stać w prawdzie” i przyznać, że ten „akt oskarżenia” nie jest niestety bezpodstawny. I tak, wymachując wartościami jak cepami, politycy znów dowiedli banalnej konstatacji: najwyższą wartością jest jednak sama władza. Byle nasza.

REDAKTOR ZASTĘPCZY JK

Oficjalne otwarcie innovacyjnego sklepu MODIVO

ARTYKUŁ SPONSOROWANY



Na zdjęciach (od góry): Natalia Siwiec, Joanna Opozda i Antoni Królikowski, Ada Fijał

Ten multibrandowy sklep online z modą premium (modivo.pl) otworzył swój pierwszy sklep stacjonarny w Galerii Młociny w Warszawie. Jako pierwsza marka w Polsce zabiera swoich klientów do zupełnie innej, zaskakującej rzeczywistości, będącej niecodziennym spotkaniem z technologią. W MODIVO nie znajdziemy standardowych rzędów wieszaków pełnych ubrań, spośród których trzeba wyszukać interesujący nas rozmiar, kolor czy fason.

Marka dostrzegła potrzeby klientów: chęć stworzenia w czasie jednych zakupów „total look” – często z produktów nie jednej, tylko kilku ulubionych marek – oraz wygodę zakupów i kompetentną obsługę.

Formuła sklepu jest odpowiedzią na te potrzeby i przekłada się na zamawianie ubrań przez tablet bezpośrednio do przymierzalni. Misja MODIVO to dostarczanie mody w szybki i nowatorski sposób. Umożliwia dokonywanie zakupów online w sklepie offline. Dzięki temu klient otrzymuje dostęp do kilkudziesięciu tysięcy produktów od niemal 250 marek, m.in.: Guess, Tommy Hilfiger, Pinko, Versace Jeans Couture, Michael Kors, Liu Jo, Twinset, Elisabetta Franchi oraz Calvin Klein.

Zespół sklepu oferuje pomoc osobistego concierge, który przeprowadza klienta przez proces zakupów „krok po kroku”, a także doradza w wyborze elementów niezbędnych do stworzenia najlepszej stylizacji.



Konrad Jezierski – dyrektor ds.retail eobuwie.pl oraz Marcin Grzymkowski – prezes eobuwie.pl i Paulina Ciecierska – dyrektor marketingu MODIVO



Wielki Brat i bracia mniejsi

JERZY BACZYŃSKI, MARIUSZ JANICKI

Nagle, trochę ni stąd, ni zowąd, zrobił się potężny kryzys polityczny, grożący rozpadem tzw. Zjednoczonej Prawicy, utratą większości przez rząd, być może wcześniejszymi wyborami. Tak to przynajmniej wyglądało w słowach i epitetach, jakich nie szczędzili sobie od paru dni politycy, spójnego do niedawna, obozu władzy. Mowa była o niszczeniu koalicji, o niekompetencji, zdradzie, o tym, że „komoś zerwało beret”. Barwne i żenujące. Nawet doświadczeni polityczni obserwatorzy nie bardzo rozumieli, co się dzieje, kto tu i o co gra, a zwłaszcza o co chodzi Jarosławowi Kaczyńskiemu. Czy on to przesilenie pod pretekstem tzw. ustawy futekowej wywołał świadomie, czy puściły mu nerwy, a może sytuacja wymknęła mu się spod kontroli? Oczywiście burza polityczna z piorunami (jak to u nas) może szybko przeminąć, partnerzy się dogadają „ku chwale Polski” (cytat z poniedziałkowej konferencji Zbigniewa Ziobry), zrobią dobre miny do brzydkiej gry.

Ale tak czy owak, krajobraz po tej zawierusze już nie będzie taki sam jak przed. Sytuacja w obozie władzy stała się maksymalnie chybota. Wszelkie ustalenia – dymisja Ziobry, kolejna ostateczna z nim rozmowa prezesa czy przywrócenie go ponownie do rządu – mogą się zmieniać z dnia na dzień. Zwłaszcza że Ziobro wyraźnie przestraszył się własnej odwagi i zaczął machać białą flagą, prosząc już tylko, jak się zdaje, o to, aby jego kapitulacja nie była bezwarunkowa i zbyt kompromitująca.

Po wyborach prezydenckich, jak mówili politycy PiS, miały nastąpić trzy lata spokoju i dalszego „naprawiania kraju”. Oznaczało to m.in. dalsze podporządkowywanie sądownictwa, odbieranie kompetencji samorządom, przykroczenie mediów prywatnych, przejście szkół wyższych. Układany był program na jesień. Jednak rutynowe, zdawało się, negocjacje koalicyjne przedłużały się, nie tylko w kwestii rekonstrukcji rządu, ale też co do podziału budżetowej subwencji i przede wszystkim – miejsc na listach wyborczych w 2023 r. W wyniku impasu Ziobro, jak głosi wieść, zagrał *va banque* i zgłosił ze swoją Solidarną Polską akces do PiS, ale Kaczyński odmówił przyjęcia ich do swojej partii. To był zapewne detonator konfliktu. Dla Zbigniewa Ziobry, także zapewne dla Jarosława Gowina i jego Porozumienia stało się jasne, że Kaczyński zamierza odwrócić wynik wyborów z 2019 r., które co prawda przyniosły nieznaczne zwycięstwo Zjednoczonej Prawicy, ale uformowały także – przez błąd czy niedopatrzenie prezesa PiS – dwie wyraźne, odrębne kilkunastomandatowe frakcje – Solidarną Polskę i Porozumienie. Bez nich PiS już nie miało większości.

Czym to grozi, Kaczyński przekonał się, przegrywając z Gowinem spór o majowe nie-wybory. Marginalne partyjki (na poziomie 1–1,5 proc. sondażowego poparcia), które samodzielnie nie weszłyby do Sejmu, rzeczywiście stały się ogonem, który może merdać psem. W pierwszej kadencji PiS był absolutnym dominatorem w tzw. Zjednoczonej Prawicy, a kierownicza rola partii PiS nie była kwestionowana. Po wyborach to się radykalnie zmieniło. Sprzeciw Ziobry wobec tzw. ustawy bezkarnościowej – dającej premierowi i jego urzędnikom zwolnienie z odpowiedzialności, także karnej, za złamanie prawa „w imię walki z pandemią” – Kaczyński musiał odczytać jako akt nielojalności



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

i jawnego szantażu ze strony mikropartnera i zapowiedź kolejnych wymuszeń.

A tego było za dużo: Kaczyński nie zwykł tolerować w swoim obozie żadnej konkurencji, a tym bardziej publicznych upokorzeń. Do natychmiastowej kontrakcji posłużyła, zapewne w sposób pierwotnie nieplanowany, wrzucona do Sejmu ad hoc ustawa o ochronie zwierząt (więcej o niej na s. 12). Jeśli w agresywnej, toczącej się od paru dni politycznej grze chodziło o braci mniejszych, to nie w sensie franciszkańskim, ale o mniejszych braci Wielkiego Brata, czyli obu małych koalicyjantów, których Kaczyński postanowił ponownie zapędzić do klatki. Ale być może nie zauważył, że obaj nie tylko się wzmocnili i upaśli, ale jednemu z nich wyrosły ostre zęby i pazury. Kaczyński wyhodował sobie drapieżnika.

Za wszystkie działania Ziobry odpowiedzialny jest właśnie Kaczyński, wbrew legendzie, jaką próbuje się stworzyć, że teraz ofiarnie walczy z radykałami. To Kaczyński był źródłem władzy Zbigniewa Ziobry. Wziął na listy PiS jego partię, dał mu Ministerstwo Sprawiedliwości, sprawił, że połączono funkcje szefa MS i prokuratora generalnego, firmował ze swoim ugrupowaniem ustawy dające prokuraturze coraz większe kompetencje, a Ziobrze kontrolę nad sądownictwem.

W jakimś stopniu było to politycznie racjonalne: prezes PiS zapewne obawiał się, że ambitny Ziobro z czasem może stworzyć PiS-owi konkurencję na prawicy, wołał mieć go na oku i pod kontrolą. Po drugie, i tu chyba trzeba się zgodzić z opinią Ludwika Dorna, Kaczyński sądził, iż nie będzie lepszego człowieka do rozprawy z „kastą sądową” niż Ziobro, tak jak lata temu najwłaściwszym likwidatorem WSI jawił mu się Antoni Macierewicz. Ziobro wydawał się wystarczająco brutalny, a to, że nie jest z samego PiS,

miało być jakimś buforem dla prezesa PiS, gdyby doszło do frontalnego, krytycznego sporu z Unią Europejską. Zresztą zbliża się właśnie czas kolejnych rozstrzygnięć TSUE.

Problem Kaczyńskiego polega na tym, że jego kalkulacje w zasadzie zawiodły. Ziobro w ramach Zjednoczonej Prawicy nabral znaczenia i wpływów, które nie byłyby w jego zasięgu, gdyby Kaczyński nie podał mu ręki po jego wspólnej z Jackiem Kurskim „zdradzie” niemal dekadę temu. Dopiero teraz Ziobro ma naprawdę rozpoznawalnych posłów, nazwa jego partii funkcjonuje publicznie i może być zaczynem nowych sojuszy. Podobnie z drugim powodem: minister-prokurator nie złamał większości sędziów, nie narzucił woli sądom powszechnym, także przejęcie Sądu Najwyższego nie wydaje się pewne. A nawet politycy obozu władzy zauważają, że sprawność sądownictwa się pogorszyła, co pomalutka zaczynają dostrzegać także wyborcy. Jednocześnie Ziobro, kiedy mu nie szło z sędziami, rozbudował swoje prokuratorskie imperium – zbiera haki, steruje postępowaniami, także w przypadku ludzi władzy; może stać za przeciekami. Kaczyński stworzył wroga, z którym teraz musi walczyć. A ponieważ Ziobro ma wiernych prokuratorów, zaś Kaczyński służył specjalnie pod wodzą ministra Kamińskiego, dla „Zjednoczonej Prawicy” może to oznaczać wyniszczającą bratobójczą wojnę.

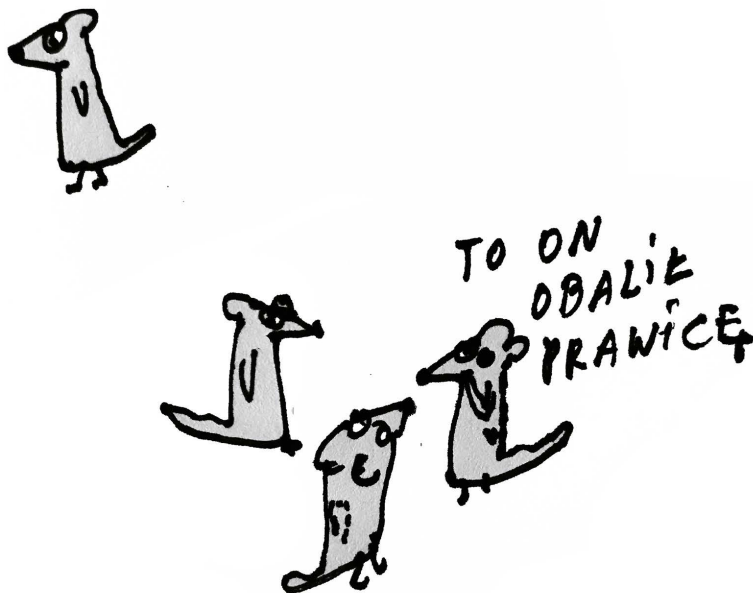
Od momentu gdy Kaczyński odrzucił „zjednoczeniową ofertę Solidarnej Polski”, dla Ziobry jedyną nadzieją na to, że kiedyś będzie odgrywał na prawicy znaczącą rolę, było rozkołysanie prawicowej łodzi, liczenie na istotne perturbacje i podziały w PiS, na inne rozrządzenie prawicowych puzzli. Nie chodzi już o schedę po Kaczyńskim jako prezesie PiS, ale o schedę po PiS, walkę o przywództwo w całym obozie w zupełnie innym rozdaniu. Ziobro już wie, że na listy PiS się nie dostanie, nawet jeśli w końcu akurat ten kryzys zostałby jakoś zażegnany i gdyby nawet podpisano jakieś porozumienie. Musi mieć w pamięci choćby sławetne pisemne porozumienie Kaczyńskiego z Jarosławem Gowinem z kwietnia, którego on sam mało nie wysadził w powietrze następnego dnia. Wtedy okazało się, że żadne umowy nie muszą obowiązywać, jeśli zmieni się tzw. sytuacja.

Do tego „chybotania” prawicą należy też walka Ziobry z Mateuszem Morawieckim – chodzi o sprawienie, aby nie był on naturalnym, oczywistym zastępcą i następcą Kaczyńskiego, żeby stopniowo się zużywał, co ma spowodować, że prezesura w PiS stanie się w swoim czasie przedmiotem tarć i konfliktów frakcyjnych. Ziobro pozycjonował się w tym coraz trudniej maskowanym sporze jako depozytariusz ideowej agendy PiS, strażnik czystości doktryny, stający naprzeciwko miękkiego pragmatyka, z przeszłością „bankstera”. W przypadku słabnięcia przywództwa Kaczyńskiego, rozpadu Zjednoczonej Prawicy czy rozłamu w PiS Ziobro, tworząc formację nawet średniej wielkości (z cichym wsparciem o. Rydzyka, ewentualnie w sojuszu z Konfederacją lub jej częścią i np. już ujawniającą się grupą rozłamowców z PiS), mógłby stać się niezbędnym koalicjantem PiS przy tworzeniu następnego rządu. I to już nie w roli wasala i petenta, ale agresywnego partnera z daleko idącymi roszczeniami, do stanowiska premiera włącznie. Te kalkulacje Ziobry stały się ostatnio aż nadto czytelne i musiały wzbudzić gniew Kaczyńskiego. A wciąż ma on w rękach mnóstwo narzędzi, aby przetrzepać skórę „norki-agresorki”, jak pewnie postrzega niedojrzałego rywala.

Jakkolwiek jednak zakończy się kryzys w koalicji rządzącej, sytuacja polityczna trwale się zmieniła, weszła w nową fazę jawnej wrogości, która może być tonowana tylko chęcią obrony stanu posiadania władzy: większości sejmowej, wielu instytucji, spółek Skarbu Państwa, mediów tzw. publicznych, tysięcy

stanowisk. Ale nigdy wcześniej nie ujawnił się tak wyraźnie realnie układ władzy, tak sprzeczne interesy, takie rozbieżności w politycznej opowieści obozu władzy (więcej o tym na s. 23). Wyborcy zobaczyli nienawidzących się „przyjaciół”, podgryzających się „kolegów”, którzy mają przecież skupiać się na „prowadzeniu polskich spraw”. Coś pękło, nawet jeśli TVP rozpaczliwie starała się chronić przed tymi okropnymi informacjami co bardziej wrażliwych wyborców prawicy. Widać już, że rozpad większości sejmowej, jeszcze niedawno niewyobrażalny, a jeśli już, to raczej za sprawą Porozumienia Jarosława Gowina, teraz jest możliwy niemal w każdym momencie (podobnie zresztą jak jej odzyskanie). Nieoczekiwane wejście do gry w futerkowej maskaradzie Andrzeja Dudy, który wyraźnie poparł Zbigniewa Ziobrę i dysydentów pisowskich, może być zapowiedzią kolejnych napięć – prób odwetu bezkarnego już Dudy na Kaczyńskim. Tak czy owak, w obozie kiedyś zjednoczonej prawicy szykuje się gorąca „jesień średniowiecza”.

Wydaje się zresztą, że Jarosław Kaczyński nie jest tak bardzo zdeterminowany, aby koalicijną większość za każdą cenę tworzyć i utrzymać. Możliwy jest rząd mniejszościowy, może przedterminowe wybory w przyszłym roku. Jeśli nie teraz, to przy następnej koalicyjnej niesubordynacji. Obóz rządzący ma prezydenta, Trybunał Konstytucyjny, NBP, z czasem Sąd Najwyższy, a więc instrumenty, które bardzo utrudnią opozycji polityczny i karny odwet na ludziach obecnej władzy. Nadchodzi ciężkie czasy zmierzania się z ekonomiczną rzeczywistością pandemii, możliwymi protestami i strajkami. Gdyby teraz to opozycja, beznadziejnie podzielona, skłócona, bez energii, miała wziąć władzę, w tak trudnej sytuacji spadku produktu krajowego, wydrenowanej kasy państwa, PiS mógłby tylko zyskiwać. Przedstawiałby legendę swoich „złotych czasów”, a za jakiś czas mógłby powrócić już z większością konstytucyjną. Inna sprawa, czy opozycja jest organizacyjnie i mentalnie gotowa na operację przejścia władzy, a nawet na udział we wcześniejszych wyborach. Wydaje się, że nie. Ale też sam obóz władzy w dzisiejszej postaci, jak na to wiele wskazuje, swoje apogeum ma za sobą, wszedł w okres schyłkowy, który może trwać długo, niemniej wciąż to jest kierunek w dół. ■



ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

Praca dla swoich

Joachim Brudziński przyznał wprost, że jedyne, co może zostać „mniejszym koalicyjantem, czasami niedoświadczonym kolegą, to bardzo miłe wspomnienia z pełnienia funkcji, które niejednokrotnie przekraczają ich kompetencje”. – *Dla nas było jasne, że nie chodziło Brudzińskiemu tylko o resorty, ale przede wszystkim o spółki Skarbu Państwa, gdzie Ziobro ulokował swoich ludzi. Wielu zaciera ręce, że wreszcie jego żona i brat odejdą z państwowych posad, na których zarabiają grubą kasę* – twierdzi nasz rozmówca z PiS. Dodaje, że już od jakiegoś czasu przy Nowogrodzkiej mówiło się, że trzeba wyrzucić Patrycję Kotecką z zarządu Link4, spółki zależnej od PZU, i Witolda Ziobrę ze stołka doradcy w Pekao: – *Ale trwały negocjacje i prezes kazał jeszcze się wstrzymać.*



Szymon Pogoda, dotychczasowy radny Bolesławca. Dla niego to też będzie awans finansowy.

Dziś Pogoda kieruje powiatowym biurem państwowej ARI MR i zarabia miesięcznie 6,7 tys. zł; jako poseł dostanie 8,6 tys. zł (uposażenia razem z dietą) na rękę.

Razem z Adamem Lipińskim do zarządu NBP wejdzie ekonomistka ze środowiska PiS, była wiceminister finansów, Marta Gajęcka, społeczna doradczyni Andrzeja Dudy, ale grono doradców po jej odejściu się nie pomniejszy. W minionym tygodniu Kancelaria Prezydenta ujawniła, że do zespołu doradców głowy państwa dołączyła w sierpniu **Kinga Duda**.

– *To osobista decyzja prezydenta i jego żony Agaty. Wiadomo, że wizerunkowo nie wygląda to najlepiej ani dla niego, ani dla Kingi* – mówi osoba z otoczenia prezydenta. I dodaje, że wygląda na to, że chodziło o wpis do CV Kingi. – *Ona myśli o międzynarodowej karierze prawniczej, a taki zapis w życiorysie może jej pomóc. Wielu pomysłi, że doradza prezydentowi, nie będą wiedzieć, że chodzi o jej ojca.*

W ostatnim tygodniu zapadły za to inne personalne decyzje. W listopadzie Adam Lipiński, jeden ze starych druhów prezesa PiS, dołączy do zarządu NBP. W Sejmie był prawie niewidoczny, przy Nowogrodzkiej też tracił na znaczeniu, choć wciąż jest jednym z wiceprezesów partii. Kaczyński postanowił wysłać przyjaciela na polityczną emeryturę, a dotychczasowe trudy wynagrodzić mu pensją członka zarządu NBP w wysokości 50 tys. zł miesięcznie i to przez sześćoletnią kadencję. Lipiński musi zrezygnować z mandatu posła, oddać legitymację partyjną i zwolnić fotel wiceprezesa PiS, na którym ma się rozsiąść Mateusz Morawiecki. W Sejmie Lipińskiego zastąpi

Dwa lata temu z Pałacu odeszła Dorota Skrzypek, wdowa po Sławomirze Skrzypku, bliskim współpracownikowi Lecha Kaczyńskiego i byłym szefie NBP, który zginął w katastrofie smoleńskiej. Była jedną z najbliższych współpracownic Agaty Kornhauser-Dudy, ale relacje obu pań nie układały się najlepiej. Kilka dni temu Skrzypek weszła do rady nadzorczej PGE Centrum, spółki córki Polskiej Grupy Energetycznej. Bo im większe perturbacje w obozie władzy, tym szybciej kręci się karuzela stanowisk w państwowych spółkach. (DAB.)



Smoleńska gra

Decyzja o wystawieniu nakazów aresztowania dla trzech rosyjskich kontrolerów ze Smoleńska nie ma żadnego znaczenia prawnego. To kolejna próba przejęcia inicjatywy przez Zbigniewa Ziobrę. Prokuratura w sprawie kontrolerów może licytować wysoko – z punktu widzenia swojego szefa – niewiele ryzykując. Wina Rosjan jest ewidentna, co ustaliła już komisja Millera w 2011 r., a potwierdziła prokuratura wojskowa wiosną 2015 r., wysuwając przeciwko dwóm z kontrolerów zarzuty: nieumyślnego spowodowania katastrofy w ruchu lotniczym oraz spowodowania bezpośredniego niebezpieczeństwa w ruchu powietrznym. W 2017 r. specjalny zespół śledczy zastrzył zarzuty – do umyślnego spowodowania katastrofy, i dołożył zarzut wobec trzeciego z kontrolerów: pomocnictwa w spowodowaniu katastrofy.

Nie ma jednak dowodów, że kontrolerzy chcieli doprowadzić do katastrofy polskiego tupolewa. Są za to dowody (w postaci rozmów zarejestrowanych w **wieży kontroli lotów**) na panujący chaos i brak przygotowania do przyjęcia samolotu. Stąd zarzuty z 2015 r. – choć i one miały jedynie znaczenie symboliczne, gdyż Rosja nigdy nie wydaje swoich obywateli. Ziobro i jego ludzie, w tym szef smoleńskiego zespołu prokuratorów Marek Pasioneł, mają tego świadomość. Mogą więc oskarżyć rosyjskich kontrolerów właściwie o wszystko. Także o to, że celowo doprowadzili do katastrofy, czyli niemal o zabójstwo. Skutki będą jedynie polityczne. I właśnie o to chodzi.

Antoni Macierewicz od pół roku nie przedstawił raportu z pracy podkomisji smoleńskiej, jego alienacja w PiS się pogłębia, Ziobro próbuje więc zająć pozycję lidera w „dochodzeniu do prawdy o katastrofie smoleńskiej”. Umacniając przekaz o winie kontrolerów, punktuję w oczach „ludu pisowskiego”. Przy okazji zaś podrzuca Mateuszowi Morawieckiemu gorący kartofel, bo to premier firmuje w oczach świata działania Ziobry.

Pole manewru prokuratury – nawet gdyby Ziobro został odwołany – pozostanie szerokie. Może sięgać po kolejne narzędzia prawne – takie jak: międzynarodowy list gończy, wniosek o zwrot wraku jako dowodu w sprawie czy nowe ekspertyzy – a przede wszystkim zatopić Macierewicza,

ujawniając wyniki sekcji ekshumowanych ofiar i brak śladów rzekomych eksplozji.

Pozostaje jeszcze kwestia najważniejsza, czyli koszty, jakie poniesie Polska po tej kolejnej erupcji smoleńskiego cynizmu. To, że prokuratura kompromituje się tego typu wnioskami, to pół biedy. Gorzej, że Ziobro i jego ludzie w swojej grze o wpływy instrumentalizują niezwykle przecież ważną sprawę, jaką jest pociągnięcie do odpowiedzialności winnych tragedii sprzed 10 lat.

Świadczy o tym nie tylko milczenie na temat wyników sekcji i ukrywanie rezultatów prac zespołu ekspertów pod przewodnictwem Antoniego Milkiewicza, który już pięć lat temu orzekł niemal identycznie jak komisja Millera, że główną przyczyną katastrofy smoleńskiej były błędy załogi połączone z jej niewłaściwym wyszkoleniem. Ale też trwająca już siedem lat niemoc prokuratury w sprawie pociągnięcia do odpowiedzialności byłego dowódcy 36. specpułku z Okęcia i szefa eskadry tupolewów. Jeszcze w 2011 r. postawiono im zarzuty niedopełnienia obowiązków związanych ze szkoleniem załóg i obsadą lotów. Prokuratura odmawia informacji o stanie śledztwa. Co jest w sumie zrozumiałe: wina polskich oficerów wykluczałaby winę Rosjan – a przynajmniej mocno ją osłabiała. Ziobro woli więc zbijać polityczne punkty i kompromitować państwo polskie niż rzetelnie poprowadzić jedno z najważniejszych śledztw w jego historii. (GR)

Grillowanie Ziobry

Antoni Dudek

Politolog i historyk, profesor nauk humanistycznych



Doświadczenie historyczne uczy, że nic nie łączy polityków równie mocno jak sprawowanie realnej władzy. Warto o tym pamiętać, gdy się analizuje różne scenariusze możliwego rozwoju sytuacji, jaka powstała po buncie Solidarnej Polski Zbigniewa Ziobry, który ponownie zdecydował się rzucić rękawicę Jarosławowi Kaczyńskiemu. Ponownie, gdyż w 2011 r. odszedł z PiS, by razem m.in. z Jackiem Kurskim powołać własną formację polityczną, czyli SP. Kilka tygodni temu Ziobro zaproponował podobno Kaczyńskiemu definitywne anulowanie tamtego błędu i ponowne zjednoczenie. Odmowa, z jaką się spotkał, sprawiła, że usztywnił swoje stanowisko w późniejszych rozmowach na temat rekonstrukcji rządu i jego programu na najbliższe trzy lata.

Dlaczego Kaczyński nie chciał ponownie Ziobry i jego ludzi w szeregach PiS? Bo partia jest dla niego ważniejsza niż państwo. I o ile przez lata tolerował Ziobrę w rządzie, uznając go za wygodne narzędzie do niszczenia znienawidzonych elit sędziowskich, to już wypuszczenie go w partyjne szeregi, w konsekwencji czego mógłby uczestniczyć w walce o sukces, uznał za niedopuszczalne.

Rozgoryczony Ziobro został dodatkowo zmotywowany do działania perspektywą dalszego wzmocnienia pozycji Mateusza Morawieckiego, z którym walczy, od chwili gdy obaj znaleźli się w rządzie Beaty Szydło. Prawdziwe przyczyny tego konfliktu nie są znane, ale jego temperatura od lat nie maleje. Kiedy zatem prezes Kaczyński postanowił z marszu, bez przygotowania gruntu, przeforsować ustawę o ochronie zwierząt, Ziobro uznał, że lepszego pretekstu do kontrofensywy może już nie mieć. Dlaczego? Bo w obronę interesów wpływowego na prawicy lobby

futrzarskiego zaangażował się nie tylko tradycyjnie sprzyjający Ziobrę o. Tadeusz Rydzyk (i jego media), ale także kilkunastu posłów PiS. Najwyraźniej Ziobro uwierzył, że na tej bazie zdoła osiągnąć to, czego nie udało się po 2011 r., czyli stworzyć samodzielny byt polityczny. Samodzielny, a więc zdolny do przekroczenia 5-proc. progu wyborczego.

Czy to realne? Na razie nie wskazują na to żadne znane sondaże. Ziobro może oczywiście liczyć, że sytuacja ulegnie zmianie, gdy za sprawą koronakryzysu poparcie dla PiS zacznie topnieć, ale musi być wielkim optymistą, jeśli zakłada, że wyborcy rozczarowani Kaczyńskim zwrócą się – mając kilka innych opcji do wyboru – akurat ku Solidarnej Polsce. Wydaje się mało prawdopodobne, aby równie wielkimi optymistami byli inni posłowie SP, którzy pospół ze swoimi współpracownikami i rodzinami, doświadczają teraz grillowania ze strony znacznie silniejszego PiS. W świecie wirtualnym ten proces już się rozpoczął. Jednak to nie miotane w internecie przez różnych stronników Kaczyńskiego oskarżenia o zdradę będą tu decydujące, ale realne posunięcia kadrowe. Jeśli bowiem konflikt nie zostanie szybko zażegnany, rozpocznie się stopniowy proces deziobryzacji aparatu państwowego, w którym ambitny minister ułokował wielu swoich ludzi. Równoległe ten proces dotknie spółki Skarbu Państwa, w których pracują również członkowie najbliższej rodziny Ziobry.

Wciąż najbardziej prawdopodobne wydaje się, że grillowanie zatrzyma się po kilku, najdalej kilkunastu tygodniach i nastąpi wielkie pojednanie, poprzedzone kolejną wyprawą Ziobry do Canossy. Podobną do tej, którą dokonał w 2014 r., gdy po raz pierwszy ukorzył się przed Kaczyńskim. Dlaczego? Bo zawsze najtrudniej zrobić to pierwszy raz. A władza to, jak już wspominałem, niezwykle silne spoiwo. Złazszcza władza podszyta strachem przed odpowiedzialnością za sprawowane rządy.

Szczepionki dla wybranych

Od piątku nikt nie może na receptę kupić więcej niż jedną dawkę szczepionki przeciw grypie, a bez recepty apteka nie sprzedaje. Ministerstwo Zdrowia – jak twierdzi Adam Niedzielski, jego szef – zdecydowało się na wprowadzenie reglamentacji z obawy przed spekulacją: był przypadek, że jedna osoba zakupiła 25 szczepionek. Argumentacja, jaką najstarsi pamiętają z PRL. Prawda – wtedy i obecnie – jest taka, że ministerstwo sprawę zaważyło, szczepionek jest za mało. Reglamentacja niczego więc nie poprawi.

Polska ma zapewnione dostawy zaledwie 1,8 mln szczepionek, o kolejne 200 tys. dopiero teraz zabiega resort zdrowia. Minister Niedzielski, już po wybuchu awantury, zapewniał, że właśnie do Agencji Rezerw Materiałowych wpłynęła oferta na kolejne 500 tys. dawek, ale informacja ta wydaje się mało wiarygodna. Tymczasem osób, dla których w tym roku infekcja może być szczególnie groźna, jest aż 13 mln. To grupy szczególnie ryzyka – m.in. personel

medyczny, seniorzy, kobiety w ciąży, osoby z przewlekłymi chorobami układu krążenia, oddechowego i odpornościowego, ale też nauczyciele. A szczepionka przeciw grypie w jakimś stopniu chroni przed superinfekcją, czyli stanem, gdy jednocześnie zaatakują nas wirus grypy i SARS-CoV-2 – argumentują eksperci.

Nie szczepiąc się, stajemy się mniej odporni nie tylko na grypę, ale także na zakażenie koronawirusem. To z tego powodu zapotrzebowanie na szczepionki może być tej jesieni dużo wyższe niż w poprzednich latach, kiedy szczepiło się zaledwie 4,12 proc. społeczeństwa. W innych europejskich krajach (Niemcy, Włochy, Holandia, Wielka Brytania) przeciw grypie szczepi się ponad 70 proc. obywateli. Także dlatego że dla wielu grup od lat szczepionka ta jest tam refundowana, bezpłatna. W Polsce była tylko zalecana, płaciłymi za nią z własnej kieszeni; w tym sezonie kosztuje ok. 45 zł. Dlatego wiosną (producenci o wielkości produkcji decydują ostatecznie w kwietniu i w maju), kiedy inne

rządy zabiegały o większe dostawy (Wielka Brytania zakupiła 30 mln dawek), nasz nie kiwnął palcem. Zadbajmy o więcej szczepionek wtedy, gdyby i u nas szczepionka była refundowana.

Trzeba więc zadać pytanie, dlaczego MZ zdecydowało o całkowitej refundacji jej kosztów dla służb medycznych oraz seniorów 75+ dopiero we wrześniu, kiedy więcej szczepionek już nie można było zamówić?

Dlaczego kolejnym grupom (dorosłym chorym przewlekle, dzieciom, kobietom w ciąży) dało prawo do zwrotu połowy kosztów? Do tej pory na polski rynek trafiło – jak twierdził w Sejmie wiceminister Miłkowski – ok. 260 tys. dawek szczepionki. Nie sposób je kupić, apteki prowadzą zapisy. Otrzymują o wiele mniej, niż zamówiły, bo – jak można usłyszeć nieoficjalnie – część dostaw przejmują ministerstwo dla służb medycznych, o których nie pomyślało wcześniej. Reszta ma dotrzeć do Polski do końca grudnia. Dla tych, którzy szczepili się w ubiegłych latach i dzięki którym szczepionki w ogóle zostały zamówione, może już nie starczyć. (J. Sol.)





Pokój na trawniku

Na trawniku Białego Domu **przedstawiciele Izraela, Bahrajnu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich** podpisali porozumienie o wzajemnym uznaniu dyplomatycznym. Strony wymieniają ambasadorów, rozwiną oficjalną współpracę handlową i turystyczną, otworzą niebo dla samolotów sygnatariuszy. Sprawa jest znacząca przede wszystkim dlatego, że Emiraty i Bahrajn będą odpowiednio trzecim i czwartym państwem arabskim, które uznało Izrael (pierwszy był Egipt w 1979 r., druga – Jordania w 1994). Jazzband zagrał „Love is in the Air”, prezydent USA ogłosił „narodziny nowego Bliskiego Wschodu”, a przychylna mu prasa usilnie pisze o „porozumieniu pokojowym”, którego oczywiście nie było.

I jak by tu nie pochwalić Trumpa. Wiele przed nim mówiło, że się nie da. Że wyznaczony do tego zadania prezydencki zięć Jared Kushner jest chodzącym przykładem nepotyzmu i ignorancji. A jednak bezwzględna presja dwóch nowojorskich deweloperów okazała się skuteczniejsza od meandrów doświadczonych dyplomatów. Oczywiście przełom – nazywany oficjalnie „porozumieniami Abrahama” – był bardziej symboliczny niż praktyczny, bo wspomniane trzy państwa od kilku lat współpracują już w dziedzinie bezpieczeństwa w obawie przed coraz bardziej agresywnym Iranem. No ale teraz dojdzie więc natury *soft power* – Izraelczycy polecają na zakupy do Dubaju, a emirowie zainwestują w izraelską dolinę krzemową.

Aco z Palestyńczykami? Jeden ze znajomych izraelskich ekspertów napisał, że bardzo się cieszy z porozumienia: „Szkoda tylko, że nie z tymi Arabami, co trzeba”. Ale pośrednio może ono rzeczywiście spacyfikować tych Arabów, co trzeba. Palestyńczycy – odcięci najpierw od amerykańskiej pomocy, a teraz od wsparcia braci Arabów, nawet jeśli było ono wyłącznie moralne – są dziś w beznadziejnej sytuacji. Jeśli Trump wygra reelekcję, nic już nie powstrzyma Izraela przed anektowaniem większości Zachodniego Brzegu. Taki „pokój”, jak twierdzą eksperci, zaowocuje albo wewnętrzną i zewnętrzną emigracją, albo wojną wywołaną przez zdesperowanych Palestyńczyków.

Patrząc nieco szerzej, porozumienie Izraela, Bahrajnu i Emiratów stopniowo zmienia znaczenie terminu „konflikt bliskowschodni”. Coraz mniej dotyczy spraw izraelsko-palestyńskich, coraz bardziej – semicko-perskich. Proces ten jeszcze przyspieszy, jeśli do Jerozolimy przyjedzie w końcu saudyjski ambasador, co zapowiadają przecieki. Administracja Trumpa mozolnie buduje więc dychotomiczny obraz regionu na modłę zimnowojenną. Jak się zdaje, szuka równowagi, aby ze spokojnym (względnie) sumieniem opuścić te okolice.

Patrząc dziś na Bliski Wschód, Trump może i nie zasłużył wciąż na pokojowego Nobla, ale autor udanego wycofania się Ameryki z tego regionu z pewnością na taką nagrodę zasłużył.

ŁUKASZ WÓJCIK

Żelazny Suga

Nowym premierem Japonii został **Yoshihide Suga**. Dla świata to urzędnik, który w kwietniu zeszłego roku ogłosił nazwę nowej ery (Piękna Harmonia, na fot.), związanej z wstąpieniem na tron cesarza Naruhito. Dla Japończyków jest przede wszystkim odwieczną prawą ręką rządzącego rekordowo długo Shinzo Abego. Jako rzecznik jego rządów nazywany był przez dziennikarzy Żelaznym Murem, bo nie odpowiadał na krytyczne pytania. Jako szef gabinetu premiera bez uśmiechu i uroku koordynował pracę ministrów i żelazną ręką sprawował kontrolę nad bizantyjską krajową biurokracją. Rządząca Partia Liberalno-Demokratyczna zdecydowała się na veterana z drugiej linii z braku alternatywy i dlatego, że 71-letniego Sugę popierają najważniejsze frakcje i partyjne gwiazdy.



Nie zbudował własnego stronnictwa, nie jest łasy na władzę i apanaże związane z urzędem, choć ma słabość do posunięć, które podobają się obywatelom, np. obniżenie rachunków telefonicznych.

Premierem ma być awaryjnym, przynajmniej na rok, najbliższe wybory parlamentarne muszą odbyć się do 22 października 2021 r. Daje też gwarancje, że będzie najlepszym zamiennikiem dla schorowanego Abego, kontynuując jego linię w gospodarce. Rokuje w starciu z pandemią i może poradzi sobie z przełożonymi igrzyskami letniej olimpiady, nad którymi wisi wciąż ryzyko spektakularnej klapy.

Przy okazji przypomniano trajektorię kariery nowego premiera. Skończył tokijski uniwersytet, żądając najniższego czesnego, na studiach dorabiał w fabryce kartonów i na targu rybnym. Dzień zaczyna o 5 rano, robi 100 przysiadów, spaceruje 40 minut, czyta gazety i o 6.30 gotowy jest do maratonów spotkań, a wieczorem znów 100 przysiadów. Jego przykład daje nadzieję wszystkim tym, którzy chcą się wybić w japońskiej polityce.

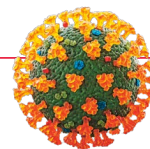
Strefy wolne od Europy

W ubiegłym tygodniu szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen wygłosiła swoje pierwsze orędzie, zwane tak najwyraźniej z nadzieją, że w końcu Europa będzie miała swoje Stany Zjednoczone. Nie stanie się to szybko, ale na zapowiedzi 61-letniej Niemki warto zwracać uwagę, bo rola Komisji jako strażnika i producenta nowych praw Unii rośnie.

Von der Leyen najwięcej mówiła o zielonej transformacji. Pochwaliła się, że 30 proc. pieniędzy na pandemiczny Fundusz Odnowy będzie pochodzić z zielonych obligacji – z przeznaczeniem na ekologię. Zapowiedziała przyspieszenie ograniczenia emisji gazów cieplarnianych przez Unię z 40 do 55 proc. do 2030 r. Niezbędne do tego będzie wykorzystanie technologii tzw. zielonego wodoru. Na redukcję celu emisyjnego w październiku musi się jeszcze zgodzić Rada

Europejska, czyli również Warszawa. Szefowa Komisji wspomniała też o walce z koronawirusem, o brexicie i o Nowym Pakcie na rzecz Migracji, który pod wpływem podpalenia obozu dla uchodźców na Lesbos (o czym piszemy na s. 44) ma być zaprezentowany już w najbliższych dniach.

W orędziu dostało się natomiast Polsce – przede wszystkim za „Strefy wolne od LGBT”. Von der Leyen powiedziała, że w takim razie muszą być one również wolne od humanizmu. Kilkakrotnie podkreślała też, że nie odpuści mechanizmu, który w przyszłym budżecie europejskim ma uzależnić wypłatę funduszy od przestrzegania podstawowych wartości Unii. A to może oznaczać, że wspomniane strefy mogą też okazać się systemowo wolne od unijnych pieniędzy.



Covid-19, tydzień czterdziesty trzeci

Jest już blisko milion ofiar śmiertelnych pandemii, a liczba przypadków w 198 państwach przekroczyła 31 mln, w ciągu tygodnia przybyło 2,2 mln nowych (według Johns Hopkins University, w poniedziałek, 21 września). 60 proc. zakażeń przypada na Stany Zjednoczone, Indie, Brazylię i Rosję. W USA zanotowano blisko 6,8 mln zachorowań i 200 tys. ofiar śmiertelnych. Najwięcej nowych zakażeń, blisko 100 tys. dziennie, notują Indie. Mają ich już 5,5 mln, relatywnie mniej śmiertelnych, 87 tys., ale i ta liczba szybko rośnie. Najsilniejsze ognisko koronawirusa znajduje się w Ameryce Łacińskiej – ponad 8,4 mln infekcji. Głównie w Brazylii, ale też w Peru, Kolumbii, Meksyku i Argentynie. W Brazylii liczba nowych zakażeń przekroczyła 4,5 mln i jest ponad 137 tys. ofiar śmiertelnych.

W Rosji jest już ponad 1,1 mln zarażeń i 19,3 tys. przypadków śmiertelnych. 40 tys. osób uczestniczy w trzeciej fazie badań klinicznych szczepionki Sputnik V, stu ochotników do badań ma dostarczyć Białoruś. Wstępne wyniki na przełomie października i listopada. Ponad połowa przypadków w Afryce – 661 tys. – przypada na RPA; chociaż sytuacja na tyle się polepsza, że prezydent Ramaphosa zapowiedział od 1 października powrót ruchu turystycznego. Natomiast ostry lockdown, na trzy tygodnie, przywrócił Izrael; decyzja zapadła tuż przed obchodami żydowskiego Nowego Roku, Rosz ha-Szana, obejmie też święta Jom Kippur i Sukkot. Zwykle to czas ożywionych podróży i odwiedzin. Agencje donoszą o licznych przypadkach obywatelskiego nieposłuszeństwa.

W Europie drastycznie jest w Hiszpanii – nowy lockdown obejmuje milion osób w regionie madryckim, także we Francji, Włoszech, Niemczech, Holandii, Portugalii (gdzie ograniczono spotkania do 10 osób). Słowacja wpisała Czechy na czerwoną listę, przy przekroczeniu granicy wymagany jest test albo kwarantanna. Rekordy infekcji biją Węgry i Rumunia. UE podpisała wstępną umowę na zakup 300 mln dawek szczepionki opracowywanej przez Sanofi i GSK – poinformowała unijna komisarz ds. zdrowia Stella Kyriakides, wcześniej 400 mln szczepionek zarezerwowano w AstraZeneca.

W czasach zamierającego ruchu lotniczego linie Qantas sprzedały na pniu 7-godzinną wycieczkę nad Australią, podobne loty widokowe organizowane są w Japonii i na Tajwanie, a przymierza się Singapur. W Tajlandii powodzeniem cieszą się samolotowe kawiarnie otwarte na pokładach uziemionych samolotów.



Nie-prezydent Xi

O chłodzenie stosunków amerykańsko-chińskich ma rozmaite odsłony. Jedną z ciekawszych jest inicjatywa legislacyjna republikańskiego senatora Scotta Perry'ego, która trafiła do Izby Reprezentantów, wymierzona w **Xi Jinpinga**. Senator wnioskuję, aby w żadnym oficjalnym amerykańskim dokumencie nie nazywać przywódcy Chin prezydentem, a jedynie sekretarzem generalnym Chińskiej Partii Komunistycznej. Perry uzasadnia, że Xi nie został wyłoniony w wolnych wyborach i nie ma demokratycznej legitymacji, aby być tytułowany prezydentem, a tak zwyczajowo jest za granicą określany. Chociaż w samych Chinach nazywa się go przewodniczącym państwa, sekretarzem generalnym partii, przewodniczącym Centralnej Komisji Wojskowej i szefem sił zbrojnych – od epoki Mao nikt nie skupił w jednym ręku takiej władzy. Ale nie ma tytułu prezydenta. Czyli afront szykowany przez Perry'ego mało go powinien dotknąć.

Tu nie chodzi o precyzję językową – analizuje w CNN lingwistka prof. Janny Leung z uniwersytetu w Hongkongu, ale o wyraźną deklarację polityczną. W końcu głowy państw mają tytuły prezydenckie niezależnie od stanu demokracji w ich krajach. Weźmy Władimira Putina: do rosyjskich wyborów też można mieć wiele zastrzeżeń – tłumaczy. W chińskim kontekście prezydencką tytułaturę wprowadzono w latach 70., otwierania się Chin i reform Deng Xiaopinga po totalitarnych czasach Mao. Ale, paradoksalnie, przywódca Xi najbardziej pewnie, zdaniem sinologów, odpowiadałby inny przydomek. Zarzucony przed laty prosty tytuł Mao: Przewodniczący, *Zhǔ xī*, który określał najwyższy autorytet i absolutną pełnię władzy. Zresztą tylko dwaj przywódcy partii mają swoje oficjalne „Myśli” wpisane do najważniejszych dokumentów: Przewodniczący Mao i Przewodniczący Xi.



EWA SIEDLECKA

Piątka dla zwierzątek

Co zawiera ustawa o ochronie zwierząt, która wywołała tak silne polityczne wstrząsy? I czy będzie miała realne skutki?

W

Szczególnie od uchwalenia – w 1997 r. – ustawy o ochronie zwierząt, której artykuł pierwszy głosi: „Zwierzę, jako istota żyjąca, zdolna do odczuwania cierpienia, nie jest rzeczą”.

rażliwość na los zwierząt to jedna z tych sfer, gdzie najbardziej odmieniła się mentalność Polaków w ciągu ostatnich kilkunastu lat.

Takie tematy, jak zakaz hodowli zwierząt na futra czy zakaz wykorzystywania zwierząt dzikich w cyrkach, stały się czymś, na czym można zarobić sympatię wyborców. Więc Jarosław Kaczyński mógł zaryzykować trwanie koalicji rządowej dla przeforsowania ustawy nazwanej piątką dla zwierząt. Zgłosił ustawę być może dlatego, aby przejść do historii nie tylko jako destruktor państwa prawa, ale też obrońca zwierząt. Ustawa miała nie tylko ocieplić wizerunek prezesa, ale też przekonać do PiS



© DAWID CHALIMONUK/AGENCJA GAZETA

młodych, którzy bardziej niż polityką interesują się ekologią i prawami zwierząt. Czy było warto, to się okaże.

Jedna wada

Ze strony Kaczyńskiego ta ustawa to połączenie odruchu serca z pragmatycznym cynizmem. Jest autentycznie wrażliwy na los zwierząt. W 2003 r. założył – razem z bratem Lechem i m.in. prof. Ewą Łętowską – Polską Fundację Ochrony Zwierząt. Pomysłodawcą i duchem sprawczym fundacji był Samuel Dombrowski – niemiecki działacz na rzecz praw zwierząt, szczególnie zawzięcie zwalczający ubój rytualny, działający także na forum Unii Europejskiej. Do dzisiaj prezes PiS widnieje w KRS jako członek rady nadzorczej tej fundacji. Tak więc jego wrażliwość na los zwierząt – nie tylko kotów – jest autentyczna. Choć łączy ją – jak wielu ludzi – z jedzeniem

mięsa, nie widząc w tym żadnej sprzeczności. Kilka lat temu telewizja pokazała jego wizytę bodaj na Podhalu: najpierw pozował z jagniątkiem na rękach, a potem siadł z gospodarzami do stołu i częstował się baraniną.

Piątką dla zwierząt mieści się we wrażliwości przeciętnego Polaka: dotyczy zwierząt domowych i futerkowych, które budzą wzruszenie miłym wyglądem, więc łatwo o empatię. Dręczenie zwierząt domowych budzi powszechny sprzeciw, podobnie jak hodowanie i zabijanie zwierząt wyłącznie dla zaspokojenia próżności: na futra, które dziś mogą być z powodzeniem zastąpione syntetykami. Zwierząt gospodarskich ustawa dotyczy w znacznie mniejszym stopniu. Nie budzą takiej empatii, mimo że hodowane i zabijane są w sposób nie mniej okrutny niż futerkowe. Ale zjadając je ze smakiem, ludzie wolą nie myśleć, skąd bierze się kotlet na ich talerzach czy kość, którą rzucają ukochanemu psu. Choć i tu podejsie – szczególnie ludzi młodych – zmienia się, co było widać w społecznym ruchu sprzeciwiającym się eksterminacji stada wolnych krów z Deszczna (bo nie mieściły się w przepisach), a także w rosnącej modzie na wegetarianizm i weganizm.

W programach partii ogłoszonych w zeszłorocznych wyborach, a dotyczących zwierząt, program PiS jako jedyny uwzględniał zwierzęta gospodarskie. I to w mądry sposób: przez promowanie dopłatami hodowli ekologicznych z wysokimi standardami dobrostanu zwierząt. Ten program – jak się z czasem okazało – ma jedną wadę: nie jest realizowany.

Ustawa ma polepszyć los bezdomnych zwierząt w schroniskach. Zakazuje rejestracji placówek prowadzonych dla zysku. Będą mogły je prowadzić tylko organizacje ochrony zwierząt działające non profit oraz samorządy lokalne. To samo w sobie nie ukróci nadużyć, ale może zmniejszyć ich skalę. Dziś schronisku opłaca się upychać zwierzęta kolanem, nie zabiegać o adopcje, byle jak leczyć i karmić, ponieważ gmina płaci schronisku od sztuki. I często nie kontroluje w nim warunków. Niechętnie i byle jak kontroluje schroniska także Inspekcja Weterynaryjna. Sam zakaz funkcjonowania schronisk komercyjnych sytuacji nie uleczy, jeśli nie będzie w nich uczciwych kontroli.

W ustawie zapomniano o nałożeniu na schronisko obowiązku natychmiastowego zacypiowania każdego przyjętego zwierzęcia, także kastracji. Zacypiowanie pozwoli śledzić los zwierzęcia. Np. czy nie znika z jednego schroniska, by pojawić się w innym, gdzie znowu można za nie zainkasować pieniądze. Natomiast kastracja to najskuteczniejszy sposób na likwidację

problemu bezdomności zwierząt. Tyle że za takie zabiegi w schronisku musiałby płacić samorządy (niektóre zresztą to robią i bez obowiązku), więc zapewne podniosłoby bunt przeciw ustawie.

Naturalne skoki przez obcęże

A ustawa i tak wywołała gwałtowny sprzeciw: właścicieli ferm futerkowych i ich popleczników, jak choćby medialnego potentata, redemptorysty Tadeusza Rydzyka. Ale w tej chwili nie jest groźny, bo od rządu dostaje większe profity, niż mogą mu zaoferować futrzarze. A do wyborów daleko, więc jego poparcie na razie PiS niezbędne nie jest.

W dyskusji wokół ustawy pojawiły się także wątki religijne i niemalże filozoficzne. Ujawniła się prawicowa doktryna o tym, że zwierzęta są podporządkowane ludziom i powinny im służyć. Minister rolnictwa Jan Ardanowski stwierdził, że „stawianie zwierząt przed ludźmi jest zaprzeczeniem chrześcijaństwa”, stwierdził też że kwestie dotyczące „sumienia i aksjologii, poczucia dobra i zła, nie mogą być przedmiotem żadnego nakazu”. Także prezydent Andrzej Duda oświadczył, że „nie można w tym wszystkim zapominać o tym, że na pierwszym miejscu jest byt rolnika”. Takie argumenty, tyle że w znacznie ostrzejszej postaci, pojawiły się także w mediach społecznościowych, gdzie dziwiono się, że z powodu jakichś zwierzątek, które nikogo nie obchodzą, może zmienić się sytuacja polityczna w kraju.

Co do lobby futrzarskiego, jego argumenty o zrujnowaniu ważnej gałęzi gospodarki brzmią nieprzekonująco, skoro owa gałąź daje zatrudnienie zaledwie kilkunastu tysiącom osób: nierzadko jedna, dwie osoby obsługują kilkadziesiąt tysięcy zwierząt, więc nie dziwi, że żyją i umierają one w drastycznym zaniedbaniu. A przychód państwa z tytułu podatków od hodowli jest zaniedbywalny, bo większość „małych” (do 16 tys. zwierząt) ferm zwolniona jest z podatku CIT. Takie przepisy już na początku lat dwutysięcznych załatwili sobie futrzarze (fermy „duże”, które wymagają skomplikowanych pozwoleń środowiskowych, liczy się od 84 tys. zwierząt).

Kolejne zwierzęta, którym pomoże ustawa, to te pokazywane w cyrkach i innych miejscach (z wyjątkiem ogrodów zoologicznych). Nie będzie można tak wykorzystywać zwierząt gatunków dziko żyjących. Zakaz wykorzystywania dzikich zwierząt dla celów rozrywkowych wprowadziło 15 państw na świecie, a kolejne 15 nałożyło ograniczenia. W Polsce prawo wymaga dziś jedynie akceptacji „scenariusza” występu ►